BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 14. Niedziela, dnia 5-go lipca Rok 1914

PRZEZ BOLEŚĆ I MIŁOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA NAPISAŁ JÓZEF ROGOSZ

(Ciąg dalszy.)

Wesołe i pełne swobody usposobienie proboszcza i mnie się udzieliło; na chwilę zapomniałam, co mnie bolało i rozmowa zaczęła toczyć się przyjemnie. W znacznej mierze przyczyniło się to do zamaskowania zamiaru, z którym właściwie do niego przyszłam; zaczęłam mu opowiadać o moim pobycie w klasztorze, o naszych naukach, wreszcie o tych koleżankach, które miały zamiar poświęcić się życiu zakonnemu. Gdym do tego punktu doszła, wybadanie opinii proboszcza nie było już rzeczą trudną.

— Co też ksiądz proboszcz myśli o tych — zapytałam mimochodem — którzy bez powołania składają śluby zakonne?

— O takich powiedziałbym, moje dziecko, że nie postępują wedle woli Bożej.

— Istotnie?

— Ma się rozumieć. Przecie Pan Bóg, ludzi stwarzając, mówi im: ty będziesz robił to, tamten owo, trzeci znów co innego, i to się u każdego z nich nazywa powołaniem. Gdyby było inaczej, świat nie miałby w sobie równowagi i harmonii. Kto więc przedsiębierze cokolwiek wbrew swemu powołaniu, przytem ze świadomością, iż nowe obowiązki źle będzie wypełniał, ten, eo ipso, buntuje się przeciw woli Bożej. Ale w rzeczach świeckich nie jest to jeszcze tak zdrożne, jak w duchownych. Przecie kapłan, zakonnik, powinien być wzorem dla ludzkości, a czy nim będzie, jeśli suknię poświęconą przywdzieje nie z potrzeby wewnętrznej, aby Panu Bogu służyć i pracować nad zbawieniem ludzkości, lecz w jakimś celu ubocznym, naprzykład, żeby żyć spokojnie?

— Może się to tyczy samych mężczyzn, nie kobiet — przerwałam.

— Tak jednych, jak drugich. Przed Panem Bogiem nie ma różnicy płci. Wszyscyśmy jego dziećmi.

— Ale kobieta, proszę księdza proboszcza, nie jest panią swojej woli... Często musi to czynić, czego od niej żądają bracia, opiekunowie, rodzice.

— Na takich braci i opiekunów są sądy, żeby zaś mogli być tacy rodzice, w to nie chce mi się wierzyć. Ale gdyby się nawet tacy znaleźli, to jeszcze dziecko ma prawo odwołać się do Kościoła i od niego żądać opieki. Zresztą i nowicyat jest na to, by w nim mogła się objawić istotna siła powołania. Wracając do rodziców, muszę jeszcze nadmienić, że jak im nie wolno żądać od dzieci, by sobie dla ich fantazyi obcinały ręce lub nogi, tak również nie wolno im skazywać swego potomstwa na takie życie, w któremby ono czuło się nieszczęśliwem. Klasztory, moja córko, są dla wybrańców, dla Świętych Pańskich, którzy zdaleka od świata chcą się oddać w zupełności Panu Bogu; są one także dla istot pełnych poświęcenia i miłości bliźnich, które cicho a w ducha pokorze pragną ludzkości służyć; są one wreszcie schroniskiem dla dusz zbolałych a złamanych, które w cichych murach szukają spokoju i ukojenia. W żadnym atoli razie nie będą przybytkiem dla takich, którzyby w nich mogli nad sobą płakać a innym złorzeczyć! Nie, Kaziu — proboszcz kończył — nie mów mi o takich rodzicach, bo takich chyba niema.

— A jeżeli bieda zmusza ich do poświęcenia swoich dzieci? — ośmieliłam się zapytać.

— Ależ, moja córko, bieda nie może nikogo zmusić do złego czynu! Komu Pan Bóg da dziecko, temu da i na dziecko; stare to, lecz nie mniej trafne powiedzenie. Chrystus Pan o nas wszystkich pamięta. Czyż Ten, który karmi ptaki niebieskie, mógłby o nas zapomnieć? Ach, jam widział rodziny prawdziwie biedne, gdzie było dzieci jak maku, dziesięcioro, dwanaścioro, niekiedy jeszcze więcej, a przecie Bóg o nich pamiętał; żyło to jakoś, wychowało się i rodzice żadnego z domu nie wypędzili. Dopóki dziecko jest małe, rodzice powinni je umieć wykarmić, za to gdy dorośnie, powinno ono pracować, a kto na świecie walczy, cierpi, pracuje i ludzkość kocha, ten, moja córko, spełnia swój obowiązek.

Tu proboszcz wyjął tabakierkę, kilkakrotnie palcem w wieczko uderzył i wziął sporą szczyptę; w chwili jednak, gdy rękę do góry podniósł, nagle się zatrzymał, jakby go coś tknęło, i ukosem na mnie spojrzał. W jego wzroku tyle było badawczej przenikliwości, żem mimowoli oczy w dół spuściła.

— Hm, hm — mruknął, i nie patrząc już na mnie, szybko dodał: — A co myślisz teraz robić, moje dziecię? Młodaś jeszcze, bardzo młoda, a nauki już ukończone.

— Jeszcze nie całkiem... Zastanowiwszy się nad moją przyszłością, postanowiłam uczyć się dalej, żeby złożyć egzamin na nauczycielkę.

— A to w jakim celu?

— Aby rodzicom dopomódz. Im ciężko...

— Nie tak znów bardzo; byle ten kochany Władyś zechciał się ustatkować, byłoby im nawet wcale dobrze. Ale to już do mnie nie należy, to wasza rzecz... W każdym razie dobrze to świadczy o tobie, że rodziców kochasz i o nich pamiętasz... Czcij ojca i matkę twoję, abyś długo żył i żeby ci się dobrze powodziło! Zresztą praca uszlachetnia, a kto o swoich pamięta, o tym i Chrystus Pan nie zapomina. Hm, hm, podoba mi się ta myśl, podoba. Pracując, dopomożesz swoim i dasz innym dobry z siebie przykład, a to dla nas bardzo potrzebne.

Widząc, żem wstała i chcę się żegnać, proboszcz dodał:

— Nie puszczę cię, dopóki ci nie pokażę wszystkich moich dzieci. Krzykliwe one, bardzo krzykliwe, ale tyle mam przyjemności, gdy z niemi przebywam.

Uczyniłam zadość jego życzeniu i długą jeszcze chwilę spędziłam w pokoju bawialnym z wesołemi ptaszkami. Na widok wchodzącego proboszcza tak krzyczeć zaczęły, że doprawdy bałam się ogłuchnąć. On uśmiechał się do nich a oprowadzając mnie dokoła ścian, wymieniał imię każdego i wyliczał jego zalety.

Uważałam, że mój zacny przyjaciel, mimo wrodzonej wesołości, pod koniec mojej wizyty bardzo spoważniał, a gdym z Warzbińską probostwo opuściła, stanął na ganku i długo wzrokiem nas odprowadzał.

XVIII.

Ledwiem książkę szkolną odłożyła, znów dobrowolnie do niej zasiadłam, wszakże nie z tem pragnieniem wewnętrznem, które nam każe wiedzy pożądać, by w niej znaleść zadowolenie.

W domu nic się nie zmieniało; Władyś, gdy przyjechał, rozrywał nas i bawił, bo był wesołego usposobienia i nędze życia nie bardzo go przerażały. Tatuś nie wiele się do niego mieszał, raz jednak słyszałam, jak mówił: „Co z ciebie dędzie! Co z ciebie będzie?” Mimo to Władyś uczęszczał dalej do szkoły rolniczej.

Leosia nie było w Sławomyślu. Złożywszy egzamina prawnicze z wyszczególnieniem, osiadł w tem samem miejscu, w którem do szkół chodził, a gdziem ja była na pensyi, i w biurze mecenasa rozpoczął praktykę. Chociaż rzadko widywano go w Sławomyślu, jednak za każdą swoją bytnością odwiedzał nas bodaj na chwilę, przywoził mi książki, dawał wskazówki co do nauk, opowiadał, co porabiały moje koleżanki. Uprzejmy był zawsze, ale trzymał się z daleka, i więcej niż usta mówiły jego oczy. Z tych można było wyczytać prawdziwą jego dla nas życzliwość, ale z latami przebijał w nich także coraz większy smutek, jakby w sercu nosił żal ukryty, nie wiadomo, czy do swoich, czy do obcych, czy może do losu, że mu nie szło wszystko jak pragnął.

Zdaje się, że do swoich nie miał on żalu. Kochał rodziców bardzo, nie gardził ich siermięgą, za co wieś cała wysoko go ceniła, innym na przykład stawiając. Ilekroć do domu przyjechał, poważniejsi gospodarze zaraz się do niego schodzili, jedni by zasięgnąć jego mądrej rady, inni, żeby go odwiedzić; co zaś do proboszcza, ten cieszył się nim jak własnym synem.

Już to Leoś Zieliński był chlubą Sławomyśla.

Koleżanki moje całkiem o mnie zapomniały, z wyjątkiem jednej Maryni. Ta dotrzymała przyrzeczenia: pisała często, jej listy były zawsze długie i serdeczne. Wszelako w trzecim roku, mimo żem na każdy jej list zaraz odpowiadała, zaczęły się one robić coraz rzadsze i były pisane z widocznym pośpiechem. Wtedy przypomniałam sobie, co mi mówiła przy pożegnaniu: Pewnie idzie zamąż!

Z pierwszego listu, który teraz przyszedł, dowiedziałam się, że Marynia miała już narzeczonego, ale wielkiej radości w liście nie było. Konkurent miał już lat przeszło czterdzieści, ona dopiero siedmnaście skończyła, lecz że był człowiekiem zacnym, przytem zamożnym, więc zdecydowała się wyjść za niego, zwłaszcza, że w domu było dzieci jak maku, a materyalne położenie rodziców nie świetne. Chociaż Marynia pragnęła we mnie wmówić, że czuła się szczęśliwą, ja jednak między jej wierszami czytałam coś wręcz przeciwnego, a kiedym list skończyła, opuściłam ręce i myśl moja do niej pobiegła.

Jaka ona dawniej była wesoła, jak wierzyła w swoje szczęście, jak nie wątpiła, że pokocha i będzie kochana. A dziś? Kto wie, czy nie robi z siebie ofiary dla rodziny — kto wie, czy nie wychodzi za człowieka, który jej jest wstrętnym? Czyj lepszy los: jej, czy mój? Ach, stokroć lepiej uczyć się, potem pójść między obcych i innych nauczać, niż wyjść zamąż bez miłości i, jak galernik, ciągnąć kajdany wstrętnego związku!

Gdym się tak zastanawiała nad nią i nad sobą, spadła mi łuska z oczu i nieznana dotąd słodycz duszę wypełniła; więc mnie było jeszcze dobrze na świecie, nawet bardzo dobrze, a choć może trochę nudno, co na to poradzić? Czy innym weselej?

Nowy duch we mnie wstąpił; odtąd z większą niż przedtem gorliwością przykładałam się do nauk, a nim rok się skończył, przed komisyą szkolną złożyłam egzamin na nauczycielkę.

Teraz od mamy zależało, com miała dalej czynić.

O ilem mogła zauważyć, tatuś nie miał nic przeciw temu, żebym się uczyła, jednakowoż nie życzył sobie, bym szła między obcych. Chociaż rozmyślnie nigdym rodziców nie podsłuchiwała, przecie nie raz się zdarzało, czasem w domu, niekiedy w ogrodzie, że mnie dolatywały rozmaite ich zdania i uwagi.

— Czy nas tak dzieci obsiadły, żebyśmy koniecznie potrzebowali córkę jedynaczkę z domu wypędzać? — raz ojciec mówił. — Wyżywić ją potrafimy, sukienkę sama sobie uszyje, a na trzewiki ja się już zdobędę. Wydatków osobistych nie mam żadnych, przestanę jeszcze fajkę palić, a co z tego zaoszczędzę, będzie dla niej.

— U mnie nikt nie może próżnować, nikt! — mama wołała. — My pracujemy, niech więc i ona pracuje! Skoro nie umie być użyteczną w domu, niech idzie w świat.

— Ale jak się z tem da pogodzić twoja arystokracya?

— Mój Stanisławie, czyż nie wiesz, że dawniej córki nawet szlachty karmazynowej szły do magnatów na panny respektowe, które od służby nie wiele czem się różniły. A nauczycielka to przecie nie sługa; pójdzie tedy do pańskiego domu, byle tylko jak najdalej.

Zdarzyło się raz i tak, że się rodzice nawet z sobą o mnie posprzeczali; mówiły mi to sługi, alem ich o bliższe szczegóły nie pytała. Po tej scenie mama rozchorowała się na migrenę, dwa dni przeleżała w łóżku, tatko na krok jej nie odstępował, a gdy wstała, nie dotknął więcej drażliwego przedmiotu.

Odtąd znów było cicho.

Mama korespondowała z rozmaitemi osobami, jeździła kilka razy do miasta, nareszcie dnia pewnego weszła do mego pokoju uradowana, aby mi oznajmić, że ma dla mnie miejsce w domu bardzo zamożnym, spory kawał drogi za Humaniem.

— Będziesz tam pobierała rocznie sześćset rubli — rzekła. — Jak na początek, pensya wcale piękna. Wystarczy nietylko dla ciebie na ubranie, lecz jeszcze i bratu będziesz mogła dopomódz. Spędzisz tam trzy lata, poczem, jako nauczycielka już rutynowana, dostaniesz gdzieindziej znacznie wyższe uposażenie.

— Więc mam tam być całe trzy lata i na wakacye do Sławomyśla nigdy nie przyjadę? — ośmieliłam się zapytać.

— Wakacye! ciekawam co ci przyjdzie z wakacyi! — mama zawołała tonem zniecierpliwionym. — Podróż stamtąd to nie drobnostka... Lepiej na miejscu siedzieć, Pana Boga chwalić i pieniądze zbierać, bo to rzecz najważniejsza. (Ciąg dalszy nastąpi).

CZY TO BYĆ MOŻE...

— Matulu droga, czy to być może,
Że tatuś wszystko ma sprzedać pono
I chce wyjechać gdzieś tam za morze?
— Tatuś-by zabrał w dalekie strony
I nas ze sobą, Jaśku kochany...
— A czyby zabrał i dom rodzony
I ten na polu zagon zasiany?
— Nie można z sobą wziąć domu, pola!
— To pocóż każdy z nas tam pojedzie?
— Tatuś powiada, że kiepska rola,
Że tutaj, w kraju, źle nam się wiedzie...
— A pamiętacie, matulu droga,
Jak mówił proboszcz zeszłego lata,
Że nasza ziemia nie jest uboga,
Że jest we wszystko ona bogata:
Że w tej Ojczystej naszej krainie
Od dawien dawna, od jej powstania —
To mleko z miodem, kiejby zdrój, płynie,
Tylko potrzeba pracy, starania;
Że kraj nasz taki piękny, uroczy,
Że nie ma w świecie takiego kraju,
Bo gdzie człek tylko zwróci swe oczy,
To mu się zdaje, jakby był w raju...
— Pamiętam dobrze, złoty Jasieńku...
— To pocóż jechać nam w obce kraje,
Kiej jest nam dobrze tu, matuleńku?
Chybabym usechł — tak mi się zdaje —
Z jednej, jedynej prawie tęsknoty
Za tym co swojskie i co jest nasze,
Gdybym nie patrzył na stare płoty,
Na to po dziadach stare poddasze,
Na sadek stary, gdzie brzęczą pszczoły,
Na te kwieciste tęczowe łąki
I na ten zagon miły, wesoły,
Gdzie się do Boga modlą skowronki...
Na tym zagonie — Boże, mój Boże!
Tak tam słowiki jęczą w dąbrowie,
Że, kiedy słucham — usta otworzę...
Tego wszystkiego człek nie wypowie
I nie wymówi, i nie wyśpiewa,
Jakimi tony ich głosy dźwięczą...
Zda się — słuchają w dąbrowie drzewa
I nawet w polu pszczółki nie brzęczą;
Motyle z kwiatów nie piją rosy,
Jeno latają, kiejby zbłąkane;
Pną się do góry zbożowe kłosy,
A całe pole jest zadumane...
Nieraz, matulu, mi się przedstawia,
Że nasze pola — święte zapewne,
Bo nabożeństwo tam się odprawia,
Kiejby w kościele — przez ptaki śpiewne...
— Tak, tak, dziecino moja kochana...
— Matula płacze?... Dlaczego łzami
Cała matuli twarz jest zalana,
Że posiniała aż pod oczami?...
Matula chora?...
— Nie, nie, dziecino...
— Kiej wziąć ze sobą tatko nie może
Domu z płotami, pola z choiną —
Nie jedźmy, droga matuś za morze!

Wł. Mackiewicz.

BŁĘDY W WYCHOWANIU DZIECI.

NAPISAŁA JADWIGA MILEWSKA.

(Ciąg dalszy.)

Ogólnie rozpowszechnionym jest zwyczaj zbyt wczesnego wciągania dzieci, szczególniej dziewcząt, do pomocy matce, przeważnie w dozorowaniu i piastowaniu młodszego rodzeństwa. Nie byłoby to szkodliwem, o ileby była zachowana miara co do sił dziecka i czasu, jaki ma na to poświęcać. Pokołysać małego braciszka lub siostrzyczkę może nawet kilkoletnie dziecko; ale noszenie na ręku, albo dozorowanie całodzienne jest to wysiłek za duży dla takiego dziecka — i tego bezwarunkowo matki strzedz się powinny. Dziecko nie może bez szkody dla zdrowia dźwigać nad siły, ani być pozbawionem przez dzień cały swobody. Ruch na świeżem powietrzu jest koniecznym warunkiem zdrowia dziecka! Matki o tem pamiętać powinny i nie pozbawiać dzieci tego, trzymając je w dusznem mieszkaniu.

Dzieci same, o ile mogą, bronią się od przeciążania i wymawiają od nadużywania ich sił w posługach. Na to zbyt przemyślna matka znajduje sposób, obiecując dziecku nagrodę. Bardzo często się zdarza, że matki, zostawiając młodsze rodzeństwo starszej dziewczynce, obiecują jej coś kupić, albo przynieść. Jestto zwyczaj zły, bo przyzwyczaja dziecko do spełniania swego — tym razem przykrego — obowiązku, za nagrodę. A przecie czynić dobrze powinno się nie dla nagrody, lecz z własnego poczucia dobra. A następnie, w myśl przysłowia: „obiecanka cacanka, a głupiemu radość“, kończy się często tylko na słowach. Dziecko, oczekując owej nagrody, a nie otrzymawszy jej, przestaje matce lub ojcu wierzyć i przy nowej obietnicy odezwie się wprost z wyrzutem i powątpiewaniem o prawdzie słów rodziców. „Aha! będzie to prawda, kupi mi mama, jak wtedy“!... Lepiej wcale nie obiecywać, — jeśli się zaś obieca, to trzeba spełnić to, czego się dziecko spodziewa.

Powszechnie przyjęte, a bardzo szkodliwe, jest straszenie dzieci. Dziecko z natury nie boi się, bo nie rozumie niebezpieczeństwa, więc chwyta rączką ogień, nóż niesie do ust, ciągnie psa lub kota za ogon, biegnie pod konie lub bydło. Obowiązkiem pilnującej matki lub piastunki jest strzedz dziecko od nieszczęścia, czy wypadku, ale zupełnie niezrozumiałym jest zwyczaj straszenia dzieci.

A to się praktykuje od niemowlęcia. Krzyczące dzieci wynoszą do ciemności, wołając „o! baba! baba zła!“ Nie wpływa to zupełnie na uspokojenie

dziecka; na chwilę może ucichnie, ale nabiera przekonania, że w ciemnych miejscach czatuje na nie jakaś okropna baba, która je zjeść może. Tak samo straszą dziadami: „dziad idzie i weźmie do torby! o, już stuk do drzwi!“ To znowu tak działa na dzieci, że widok chodzących po „proszonym chlebie“ staruszków budzi w nich — zamiast współczucia — wstręt i strach.

To też dzieci kryją się po kątach, zobaczywszy wchodzącego żebraka. Żyd z brod ąjest także postrachem szczególniej wiejskich dzieci, bo i on, według objaśnień matki, czyha, aby zabrać na zarżnięcie krzyczące lub grymaszące dziecko.

Skutek jest taki, że dzieci delikatniejsze lub słabowite stają się lękliwemi, nerwowemi i później wszystkiego się boją. Ta bojaźliwość, wpajana od dziecka, z czasem przyczynia dziecku wiele przykrości. Chłopcy, przebywając więcej poza domem, prędzej się poznają na owych urojonych strachach, u dziewcząt natomiast wzrasta to nieraz wraz z wiekiem. Kiedy jeszcze nasłuchają się bajek o smokach, duchach i czarownicach, dochodzi do tego, że wieczorem boją się wyjść na dwór, na górę, wszędzie upatrując duchów, upiorów, świetlików itp.

Obowiązkiem rodziców rozumnych jest wytłómaczenie dzieciom, że żadnych strachów niema na świecie; przekonać, że n. p. stojący na górze duch — to rozwieszone prześcieradło, stukająca w pustym domu dusza — to niezamknięta okienica, a przezwana czarownicą kobieta — tylko brudna rozczochrana, stara baba... Równie szkodliwe, jak straszenie, są przesadzone pogróżki, jakie słyszą dzieci od rozgniewanych rodziców: „Czekaj! tylko ty przyjdziesz, już ja ci sprawię! Zbiję jak psa! uszy oberwę! kości poprzetrącam!“ A i przezwiskom takim, jak „hyclu“, „psia paro“ i t. p. przytem niema końca.

Dzieci swawolne, żywe lub złe nie przejmują się zbytnio temi pogróżkami, licząc na to, że im się uda wywinąć, lub wykłamać i uwolnić od obiecanej kary. Przeciwnie dzieje się z dziećmi łagodnemi, czułemi, delikatnemi: one wyobrażają sobie, że rodzice napewno wypełnią swoją groźbę, kryją się zatem po kątach, uciekają w pole, drżąc ze strachu, aby ich nie znaleziono.

Każdy z nas mógłby w pamięci znaleźć przykłady takich wypadków, ja przytoczę tu kilka dla potwierdzenia swych słów. Dziecko nastraszone karą tułało się od południa po polu, wieczorem wsunęło się na górę i tam dopiero nazajutrz odszukali je strapieni rodzice. Innym razem dziecko przesiedziało pół dnia w zbożu, dopiero obawa ciemności sprowadziła drżące i spłakane do domu, gdzie wprawdzie kary nie otrzymało (bo matkę złość opuściła), ale pogróżek na przyszłość nie oszczędzili mu rodzice.

Jeden znowu chłopiec wszedł w pusty dół od kartofli, siedział tam prawie cały dzień, a nie mogąc się potem wydostać, prawie omdlewał z głodu i strachu; dopiero sąsiadka, przechodząc, wypadkiem usłyszała cichy płacz i napół omdlałego wydostała i zaprowadzają do rodziców, którzy go napróżno wszędzie szukali.

Gospodarz spotkał chłopca w szkodzie w grochu, gonił go z pogróżkami przeszło godzinę po polu, poczem chłopiec wpadł do wsi, ale na progu rodzicielskiej chaty padł w konwulsyach i odtąd przy każdem silniejszem wrażeniu miewa ataki tej strasznej choroby. To są tylko przykłady, wybrane z tysiąca, z widocznemi złemi skutkami groźb, ale nikt nie jest w stanie zobaczyć, co się dzieje w umyśle i w sercu takiego strwożonego i bezradnego dziecka. Dla charakteru jego nieobliczalne to szkody: jest to nauka zawiści, obłudy, kłamstwa, żalu do rodziców, odczucie krzywdy i niesprawiedliwości.

Przy chowaniu rozumnem takie środki okażą się zupełnie zbytecznemi. Można wytłómaczyć dziecku, jaką szkodę zrobiło i jak się nadal strzedz tego; wykazać mu, jakiego zmartwienia jest powodem jego złe, a częściej tylko swawolne postępowanie, można wreszcie zagrozić karą, ale umiarkowaną i stosowną do przewinienia, n. p.: „Nie wezmę cię z sobą do krewnych, bo się bijesz i tam mógłbyś dzieci skrzywdzić“. — „Nie pojedziesz z ojcem do miasta, boś zostawił same dzieci w domu, to i koni nie popilnowałbyś dobrze“. — „Nie kupię ci sukienki, bo jesteś nieuważna, drzesz, niszczysz ubranie“ i t. p. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla domu i gospodarstwa.

— **Gdy ktoś utonie,** natenczas po wyjęciu go z wody, układamy go poziomo i staramy się wywołać oddech, zapomocą miarowego uciskania klatki piersiowej z przodu i z boków; odciągamy mu ręce od boków ponad głowę i opuszczamy je z powrotem, ale nie podnosząc ku górze, tylko utrzymując wciąż poziomo. Przy każdem takiem podniesieniu rąk, piersi się rozszerzają i płuca nabierają powietrza; przy każdem zaś opuszczeniu powietrze wychodzi. Zanim rozpoczniemy sztuczny oddech, trzeba postarać się wydalić nadmiar wody z żołądka i płuc, co się robi przez odwrócenie topielca twarzą nadół i ugniatanie pleców i boków, aż się woda wyleje. Nie należy zaś nigdy podnosić topielca za nogi, z głową nadół — bo to może go tymbardziej o śmierć przyprawić. Trzeba również uważać, ażeby usta były otwarte i język nie był zagłęboko zapadnięty. W tym celu, przy stosowaniu sztucznego oddychania, należy przycisnąć język rękojeścią łyżki tak, ażeby było słychać, że powietrze przy wykonanych ruchach wchodzi i wychodzi. Sztuczny oddech należy wykonywać długo, gdyż często jeszcze po upływie pół godziny i więcej można topielca do życia przywrócić.

— **Nadawanie świeżości bieliźnie.** Po wypraniu bielizny należy wlać do wody, w której się płucze, małą łyżeczkę terpentyny, co nadaje bieliźnie pozór nowości, zwłaszcza, jeżeli farbkuje się ultramaryną.

— **Pranie kaszmiru różowego i niebieskiego.** Kaszmir różowy bywa używany najczęściej na sukienki dla dzieci. Pierze się go w pianie z mydła, ostudzonej uprzednio. Nie należy dolewać farby różowej do wody, gdyż to niszczy materyał. Przepłukać dobrze w zimnej wodzie, a suszyć na świeżem powietrzu. — Flanelę koloru niebieskiego pierzemy w odwarze z otrębów bez mydła. Przy płukaniu dodajemy do wody garść soli dla zachowania koloru.

— **Pranie koloru liliowego.** Namoczyć w ługu po wypraniu w kartoflach lub pszennych otrębach. Środek doskonały.

— **Czyszczenie luster.** Należy wystrzegać się, aby lustra nie stawiać na działanie promieni słonecznych, gdyż przez roztopienie się żywego srebra dostaje skaz i plam. Najlepiej czyścić czystym spirytusem, maczając w nim flanelę i wycierając nią lustro do sucha.